

** Poniższy fragment jest częścią książki "Will Rogers i Tajemnica Fontanny Życia" autorstwa Weroniki Trandziuk. Kopiowanie i powielanie go w jakiejkolwiek formie, bez zgody autora, jest zabronione. Przypis ten nie dotyczy cytatów używanych przez recenzentów.*

Rozdział I

Pocztówka znikąd

Mały domek na przedmieściach BlueFort, przy Liberty Passage, był już w kiepskim stanie. Odpadający niebieski tynk i dziurawy dach, który przeciekał przy każdym deszczu, świadczyły o jego kiepskiej kondycji i pilnej potrzebie remontu. Will mieszkał tu, odkąd pamiętał. Szczerze kochał to miejsce, jednak z każdym kolejnym rokiem dom stawał się brzydszy i coraz bardziej zaniedbany, co budziło w chłopaku niemały wstyd. Codziennie po szkole szybko czmychał do środka i zamykał się w swoim pokoju, by nikt go nie zauważył. Choć z natury nie był dzieckiem zazdrosnym i oglądającym się na opinię innych, smucił go fakt, że to właśnie jemu przypadło mieszkać w najgorszym i z pewnością najbrzydszym domu w okolicy.

Przestronny pokój był większy niż pozostałe pomieszczenia w domu. To właśnie tu, w swoim małym królestwie, czuł się najbezpieczniej. Kremowe ściany nie były malowane od paru lat, ale farba wciąż wyglądała prawie jak nowa. Główna ściana, przy której stało łóżko Willa, była cała oklejona plakatami jego ulubionego superbohatera – Spider-Mana. Rosalind, mama Willa, pracowała w sklepie wielobranżowym. Była spokojną, delikatną kobietą o szczupłej twarzy. Włosy co noc zawijała w kolorowe wałki, by następnego dnia powitać syna z bujnymi lokami. Rano wychodziła z domu i wracała dopiero późnym wieczorem na kolację. Kobięcina ciężko pracowała, by ich utrzymać, co wzbudzało w chłopaku smutek i współczucie. Po szkole zostawał sam na większość dnia. Najgorzej było zimą, bo gdy Rosalind spieszyła się rano do pracy, nie mogła porządnie rozpałić w piecu, dlatego kiedy Will wracał do domu, w środku panował dotkliwy chłód. W gruncie rzeczy temperatura niewiele się różniła od tej na zewnątrz, a ocieplało się tylko wieczorem, kiedy mama chłopca wracała z pracy. Will siedział więc owinięty od stóp do głów pod grubymi fałdami pościeli i dodatkową warstwą koca. Pochłaniał ogromne ilości ciepłej herbaty, a kiedy jej zabrakło, pił wrzątek. Nie mógł jednak w żaden sposób jej pomóc. Był przecież tylko dzieckiem. Wielokrotnie myślał o tym, żeby dorzucić się do domowego budżetu i odciążyć mamę, ale kto by go zatrudnił?

Stał pośród nicości. Z każdej strony zalewała go ciemność, pragnąc go pochłonąć i sprawić, żeby zniknął. Pośrodku wznosił się skalny, pęknięty łuk, oświetlony z góry jasną łuną. U szczytu formacji zbierała się woda, powoli wędrowała w górę, by następnie skapywać do kamiennej misy pokrytej mchem. Wiedział, że to sen. Towarzyszące mu uczucie pustki i brak praw fizyki w tym miejscu mówiły same za siebie. Ten sam sen powtarzał się w kółko niczym zapętłona taśma, której nikt nie chciał zatrzymać. Jak w transie ruszył naprzód, zbliżył się do łuku, bo tak nakazywał mu instynkt. Dotknął skały, bo musiał, ale w tym właśnie momencie nastąpił wybuch. Ogłuszający dźwięk rozbrzmiał w jego uszach. Łuk rozpadł się z hukiem, Willa odrzuciło na bok. W tym samym momencie z wody

wyłoniły się postacie. Dwie, a może trzy? Nie mógł ich zliczyć. Na ziemi leżała zapłakana kobieta, trzymała w ramionach nieruchome niemowlę. Przytuliła je do piersi, a potem schowała twarz w jego brzuszku. Bez wahania zdjęła z niego chustę, którą było owinięte, i wrzuciła je do wypełnionej po brzegi misy. Dziecko dryfowało przez chwilę na powierzchni, po czym zniknęło pod wodą. Krzyki i przerażające wycie kobiety sprowadziły do niej mężczyznę, ale kiedy się zjawił, Will jak zwykle się obudził.

Zerwał się z łóżka jak poparzony. Choć ten sen powtarzał się od lat, za każdym razem wywoływał w nim te same silne emocje: strach, sztywność i ból. Twarz i plecy miał złane potem, a nierówny oddech powodował, że serce waliło mu w piersi jak szalone. Od dziesiątego roku życia te koszmary przybierały na sile. Nie mógł ich się sam pozbyć, ale nie chciał też martwić matki, dlatego dzielnie je znosił. Na jego szczęście nie pojawiały się codziennie.

Zarzucił sweter na ramiona i zbiegł po schodach na parter. Jego mama krzątała się w kuchni. Robiła kanapki, obierała warzywa i całych sił próbowała nie spalić kolejnego garnka z zupą. Wymarł zakatarzony nos rękawem i usiadł na schodach za domem. Chmury właśnie przysłoniły słońce, przez co świat stał się bardziej ponury i tajemniczy. Nie spał od piątej, jak to miał w zwyczaju. Od dziecka budził się wcześniej, leżał wtedy w łóżku i patrzył w sufit, wyobrażając sobie, jak to jest umieć latać. Już kolejny tydzień siedział w domu. Rok szkolny rozpoczął się paręnaście dni temu, ale Will nie mógł nic poradzić na przeziębienie, które wciąż go męczyło. Jego mama też rozkładała ręce, kiedy termometr po raz kolejny pokazywał stan podgorączkowy.

Rosalind usiadła obok syna z kubkiem gorącej herbaty w rękę i dodatkowym kocem, który zarzuciła na jego plecy. Wręczyła mu napój wypełniony po brzegi miodem, domowej roboty sokiem malinowym i cytryną. Kiedy Will chorował, jakimś cudem mama potrafiła znaleźć pieniądze na wszystkie potrzebne mu rzeczy. Robiła to, żeby przynajmniej wtedy niczego mu nie brakowało. Patrzyli przez chwilę na porośnięty bluszczem metalowy płot. Sploty rośliny z roku na rok stawały się coraz gęstsze, ale to tylko dodawało uroku temu miejscu. Will upił duży łyk herbaty i oblizał usta ze smakiem. Jego mama robiła najlepszy sok malinowy na świecie. Spojrzał na nią z czułością. Już rano, kiedy zeszła do kuchni, widział jej podkrążone oczy. Nie musiała nic mówić, bo dobrze wiedział, że znowu płakała pół nocy. Była zła. Nie na niego, lecz na niesprawiedliwy los, który ponownie sprowadził na niego chorobę, ale w głębi czuł, że to jest ten moment. Choć nie chciał jej bardziej denerwować, ciekawość była silniejsza.

- Opowiesz mi o tacie? – zapytał niepewnie, jakby bał się, że mama może go za to skarcić.
- To nie jest rozmowa na dziś, Will.
- Zawsze tak mówisz. – W złości kopnął leżącą tuż przy jego nodze piłkę.

Rosalind odwróciła się do syna i pogłaskała go po czarnych włosach, które lekko kręciły się na końcach. Jego brązowe oczy skrywały niesamowitą dziką głębię, która była nie do okiełznania. Nie mógł wyprzeć się korzeni, nawet gdyby chciał. Ciekawskie oczy Rogersów były niczym wizytówka rodziny. Tak samo jak ciemne piegi na nosie, które rozchodziły się wachlarzem na górne części kości policzkowych. Na wiecznie różowych policzkach chłopaka wyglądało to nad wyraz uroczo. Bardzo przypominał ojca, ale pani Rosalind nie była pewna, czy jest to dobry znak.

- Pewne zagadki nie muszą zostać rozwiązane, kochanie. – Jej czuły głos sprawiał, że Will nie mógł się na nią gniewać.
- Chciałbym chociaż wiedzieć, czym się zajmuje albo gdzie mieszka. – Westchnął niemal błagalnie.
- Pojechał zbyt daleko, by go znaleźć.

Will rozłożył ręce w akcie bezsilności. Rozumiał, że matka może nie kochać już ojca, ale dlaczego jego od niego odsuwa?

- Mamo... – poprosił błagalnym tonem.
- Może innym razem. Teraz – pocałowała syna w czoło – muszę iść do pracy. Jak wrócę, to zrobię kolację. Nie wychodź z domu, proszę. – Nieco ociężale wstała z miejsca, jakby za wszelką cenę opóźniała swoje wyjście. – W garnku masz rosół – dodała, znikając wewnątrz budynku.

Dobrze wiedziała, co mówi. Chłopak wielokrotnie, pomimo choroby i zakazów, wymykał się z domu na spacer. Choć był grzecznym dzieckiem, to niczym kot lubił chodzić swoimi ścieżkami i nawet ona nie potrafiła go zatrzymać. Tłumaczyła sobie, że to wina genów, których nijak nie da się oszukać. W końcu rodzina Rogersów słynęła z gorącej krwi i żądzy odkrywania. Za każdym razem kręciła tylko głowę, kiedy chłopak wyskakiwał z domu, nieraz nawet bez czapki czy kurtki. Biegła wtedy za nim, a Will łapał ubrania w locie. Nie mogła i nie chciała tego zmieniać, taka była prawda. Dlaczego miałyby odebrać jedyną rzecz, która sprawiała mu radość?

Zbyt często pytał ją o ojca, dobrze to wiedział. Smucił się za każdym razem, kiedy mu odmawiała, lecz tak bardzo pragnął znać szczegóły jego istnienia, że nie mógł się powstrzymać. Odkąd pamiętał, mieszkał tylko z matką, a im starszy się stawał, tym bardziej był dociekliwy. Przez całe swoje życie, całe trzynaście lat, nie znalazł ani jednego zdjęcia z podobizną ojca. Nie było ich w albumie ani w ramach wiszących na ścianie przy schodach. Will był przekonany, że bez wyjaśnienia tej rodzinnej tajemnicy z każdym rokiem będzie mu coraz trudniej. Już teraz czuł ten ciężar. Dałby jednak sobie rękę uciąć, że kiedyś go widział. Pamiętał jego duże oczy, ciemne, miękkie włosy oraz radosny śmiech. Ilekroć jednak męczył się, żeby choć trochę przypomnieć sobie jego twarz, nic z tego nie wychodziło. Musiał być mały, ale był pewny bardziej niż czegokolwiek na świecie, że ojciec mieszkał razem z nimi. Ten dzień nie zapowiadał się inaczej niż wszystkie poprzednie. Jak co dzień ubrał się ciepło, w za dużą kurtkę przeciwdeszczową i kalosze, bo pamiętał, że we wiadomościach mówili o ulewie. Chwycił swoją portmonetkę i wyszedł na zewnątrz. Poprawił niezdarnie czapkę z daszkiem z logo Manchesteru i zapiął kurtkę pod samą szyję, jak zawsze robiła to mama. Klucz od domu schował pod ceglana donicą, w której rosły wrzose. Rosalind uwielbiała te rośliny, ale Will nigdy nie rozumiał dlaczego. Oprócz ładnego fioletowego koloru nie widział w nich żadnych innych zalet.

Gdy wyszedł na ulicę, nie dostrzegł żywej duszy. Nie dziwiło go to jednak, ponieważ wszyscy sąsiedzi już wyszli ze swoich domów. Tylko jego mama miała w zwyczaju spóźniać się do pracy, ale mimo to zawsze znajdowała czas, by przed wyjściem choć na chwilę z nim usiąść. Osiedle Lawendowe, na którym Will mieszkał, wzięło swoją nazwę od hodowli lawendy prowadzonej w pobliżu przez panią Hilligan. Wraz z mężem byli głównymi fundatorami osiedla. Tak przynajmniej głosiła drewniana tablica witająca przyjezdnych. Rzędy kolorowych, wysokich domków zdawały się nie mieć końca. Will wraz z mamą

mieszkali w jednym z pierwszych domów, a mianowicie przy numerze drugim. Początkowo, kiedy się wprowadzali, każdy lśnił nowością i był oblany świeżą farbą w kolorach tęczy. Na tle całego miasteczka rzeczywiście się wyróżniali. Jednak z biegiem czasu kolory stawały się coraz blade, ludzie starsi i bardziej zgorzkniali, a rosnące niegdyś przed domami kwiaty pousychały.

Sklep pana Kima był typowym sklepem osiedlowym. Nie imponował rozmiarem, a Willowi, przyzwyczajonemu do przestronnych supermarketów, wydawał się wręcz mały. Gdyby chłopak miał go do czegoś porównać, powiedziałby, że był niewiele większy od jego pokoju, ale co dziwne, mieściło się w nim absolutnie wszystko. Od mikrofalówki i czajnika, po baniak z wodą, a nawet mały stolik z dwoma krzesłami. Will z uśmiechem otworzył drzwi, już przed progiem machał panu Kimowi przez szklaną witrynę. Charlie Kim był niskim mężczyzną w średnim wieku, z zakolami i kozią bródką. Codziennie nosił inną kamizelkę, co skłaniało Willa do snucia domysłów, ile ich w ogóle posiadał.

- Dlaczego masz chusteczkę w nosie? – zapytał zaskoczony, kiedy Will zamknął za sobą drzwi.
- Jestem trochę chory – wybełkotał chłopiec i wyszczerzył zęby zadowolony.

Stał z rozdziawioną buzią i przymrużonymi oczami, wzrok wbił w sprzedawcę. Chciał stworzyć wrażenie nieszczęśnika, który wymaga szybkiej pomocy. Liczył, że pan Kim zlituje się nad nim i rzuci mu coś pysznego bez konieczności płacenia. Zamiast tego mężczyzna spojrzał na niego w ten sam sposób. Chwilę tkwili w ciszy. W tle z radia leciał właśnie refren piosenki Secret Love Bee Gees, co sprawiło, że Will wybuchnął śmiechem.

- Trzeba było leżeć w łóżku, a nie się szlajasz po osiedlu. Jeszcze mnie zarazisz – burknął sprzedawca. Pan Kim nie był zbyt miłym człowiekiem, ale jego szczerość już od początku ujęła Willa. Od tamtej pory codziennie do niego przychodził.
- Panie Kim. – Will oparł się o ladę. – Coś ciekawego wydarzyło się od ostatniego razu? Hm?
- Ajajaj. Wścibski dzieciak z ciebie. – Nie zważając na młodego klienta, zaczął ścierać kurze z półek za ladą. – Weź zupę, to ci powiem – stwierdził po chwili.

Will bez wahania sięgnął po zupkę instant z półki sklepowej, a z lodówki wyjął kartonik mleka. Zalał zupę gorącą wodą z czajnika i wstawił do mikrofal. Właśnie za to kochał to miejsce. Pan Kim miał najlepsze zupy na świecie, a jedzone w sklepie smakowały jeszcze lepiej. Gdy wszystko było gotowe, usiadł na krześle i chwycił łyżkę. Wciąż obserwując sprzedawcę, czekał z niecierpliwością na kolejną porcję plotkarskich nowinek.

- Słyszałeś, młody, że twoja sąsiadka, pani Nelson, wyprowadziła się z domu? – rzucił pan Kim. Włożył okulary i chwycił za gazetę.
- Ta wdowa? – podjął Will z zaskoczeniem.
- Yhym – mruknął mężczyzna.
- Dlaczego? – zapytał i pociągnął nosem. Para unosząca się z zupy dodatkowo nasiliła jego katar.
- Podobno oszalała – wyjaśnił pan Kim, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Rozповідаła po osiedlu, że nad zatoką pływają syreny czy coś takiego.
- Syreny? Ale prawdziwe? – Nie można było powiedzieć, że Will nie wierzył w takie rzeczy. On po prostu potrzebował dowodu, aby móc z czystym sumieniem uznać je za prawdziwe.

- Aj! Coś ty! – skarcił go pan Kim. – Kobieta oszalała, nie ma co. Za dużo ajerkoniaku się napiła.
- Skąd pan wie? – dociekał Will.
- Bo to niedorzeczne – odpowiedział. Spojrzał na chłopaka, który zdawał się nieprzekonany. – Nie ma czegoś takiego jak syreny. Kto to widział? Baba z ogonem ryby. Też mi coś! – prychnął z dezaprobatą.
- Ale pan zrzedzi. – Will westchnął. Gorąca zupa nieco go rozgrzała. Musiał przecież przejść całe osiedle, aby dojść do sklepu, co skutecznie wyziębilo jego chude ciało.
- A ty jedz, bo zaraz zamykam – mruknął pan Kim, siadając na krześle tak, że zza lady Will w ogóle go nie widział.
- Zamyka pan dopiero o dwudziestej – przypomniał mu Will.
- Dla ciebie zrobię wyjątek – mruknął pan Kim i pogroził mu szmatką.

Uradowany Will zerknął na ulicę, na której teraz roilo się od małych dzieci.

- Panie Kim, długo pan tu mieszka? – zapytał nagle. Może to dobry pomysł, żeby go wypytać? Nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy, a co, jeśli on coś wie? Nie. Niemożliwe. Pokręcił głową, jakby chciał wyrzucić z niej ten pomysł.
- A bo co? – Mężczyzna podniósł głowę znad gazety.
- Nie no, tak pytam. – Wzruszył ramionami. Wciąganie niewinnych osób w rodzinną tajemnicę nie było jednak dobrym pomysłem.
- Będzie z dziesięć lat – odpowiedział pan Kim po chwili, skrupulatnie licząc na palcach.
- I zna pan tu wszystkich?
- Do czego pijesz? – mruknął pan Kim z podejrzliwością.
- A, nie. – Machnął dłonią. – W sumie to nic. – Wrócił do jedzenia.

Sprzedawca wydymał usta z niezadowoleniem. Znał Willa na tyle, że powinien już się przyzwyczaić, że chłopak zmienia zdanie w ostatniej chwili, ale największym problemem był czas, kiedy to robi. Ilekroć zdążył rozbudzić ciekawość, szybko ucinał temat, jak gdyby nigdy nic.

Kiedy tylko pan Kim zauważył, że Will wyrzuca puste opakowanie do kosza, wypędził go, zarzekając się, że jeśli go zarazi, to będzie musiał zająć jego miejsce za kasą. Aby sprawić Willowi przyjemność, na pożegnanie wręczył mu orzechowego batona. Pogoda była kiepska, więc Will nie miał ochoty na spacer po miasteczku. Wrócił do domu, zdjął kurtkę i położył się na sofie. Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Cichy dźwięk uruchamiającego się urządzenia rozniósł się po całym salonie. Zawsze się zastanawiał, jak działa telewizor. Wiele razy go badał. Odkręcał obudowę z tyłu i przyglądał się mu od środka. Matka często go za to karmiła, tłumacząc, że nie stać ich na nowy, ale ciekawość zawsze brała górę. Szary monitor o przekątnej nie większej niż długość ręki dorosłego człowieka (licząc od czubków palca do łokcia) wyświetlał właśnie jego ulubioną bajkę. Melodia czołówki Scooby-Doo nieco go rozweseliła. Pomimo że widział już wszystkie odcinki, to każdy kolejny oglądał z zaciekawieniem równie dużym jak za pierwszym razem. Otulił się kocem i przyciągnął kolana do piersi, aby szybciej się ogrzać. Podczas przerwy na reklamy zdecydował się zrobić kanapkę. Chleb tostowy posmarował grubą warstwą masła, posypał go cukrem, nie omijając oczywiście przy tym ani fragmentu, i przykrył kolejną warstwą chleba. Zaopatrzony jeszcze w kubek z ciepłym mlekiem, które podgrzał w

mikrofali, chciał wrócić do oglądania bajki, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zastygł w bezruchu.

Mama zawsze przestrzegała go przed otwieraniem drzwi bez sprawdzenia, kto za nimi jest. Will był wyjątkowo niski i nie mógł swobodnie spojrzeć przez wizjer. Kiedy szkolni koledzy wrócili po wakacjach do szkoły, nie dosięgał im nawet do ramion.

W tamtym momencie odłożył jednak to, co miał w rękach, i ruszył w stronę wejścia. Zatrzymał się, kiedy usłyszał ponowne pukanie. Szybko przywarł do drzwi, nasłuchując z zaciekawieniem, czy ktoś tam stoi. Już miał chwycić za klamkę i powitać przybysza, kiedy pod jego stopami wylądowała pocztówka. Wsunęta pod drzwiami, idealnie przeszła na drugą stronę. Papier był zniszczony i stary. Brudne rogi kartki świadczyły o tym, że pokonała długą drogę. Szybko odbezpieczył wszystkie trzy zamki i otworzył drzwi, chcąc złapać listonosza, ale nikogo nie zobaczył.

Will był zły na siebie, na los i na matkę, że tak długo zajęło mu otwieranie drzwi, ale Rosalind była osobą nad wyraz zapobiegawczą i ostrożną. Każdy zamek kupiła w innym sklepie na wypadek, gdyby któryś z poprzednich okazał się zbyt słaby. Nigdy nie wychodziła też bez małej parasolki, którą chowała w torbie, i gazu pieprzowego. Wszystko to, rzecz jasna, na wszelki wypadek.

Will obejrzał uważnie całą ulicę, lecz nie ujrzał ani listonosza, ani przechodnia, który mógłby tę pocztówkę wrzucić. Ulica i chodniki wciąż były puste. Wepchnął głowę z powrotem za drzwi i zaryglował je na wszystkie zamki. Z pocztówką w ręku wrócił do salonu i ponownie usiadł na kanapie. Wołała go i prosiła o przeczytanie. Chwilę walczył z pokusą, ale była zbyt silna, by ją zignorować. Ostrożnie się rozejrzał, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, bo kto wie, może mama wróciła niespodziewanie albo on sam wpuścił złodzieja podczas tej krótkiej chwili nieuwagi. Chwycił mocno widokówkę. Długo przyglądał się obrazkowi przedstawiającemu majestatyczny statek pasażerski. Lodowce wokół niego wyglądały jak żywe, mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy. Odwrócił kartkę, przetarł ją rękawem swetra i zaczął czytać.

Rosalind,

nareszcie was znalazłem. Czas, aby Will wyruszył ze mną i znalazł swoje miejsce na ziemi. Za dwa dni do waszych drzwi zapuka mój stary druh. Odbierze Willa. Przygotuj go na to spotkanie. To nie jest prośba.

D. S.

- No nie... Wiedziałem, że żyjesz! – krzyknął do siebie i po chwili oszołomienia zaczął skakać po kanapie z radości. – Mój ojciec żyje! – krzyknął ponownie. – Wiedziałem, wiedziałem! Chce mnie zobaczyć – szepnął do siebie.

Will przemierzył cały dom, biegając i tańcząc z radości. W mgnieniu oka wszystko przestało mieć dla niego znaczenie. Leżący na talerzu chleb, bajka w telewizji czy nawet przeziębienie. Euforia, którą poczuł na wieść, że może poznać ojca, dodała mu energii. Ciepłota się opłacała.